

40-lat minęło na scenie i ekranie.

Tęsknię do filmu i dobrych ról...

Z Dorotą Stalińską rozmawia Alina Kietrys

Czas pandemii mobilizuje w różny sposób artystów. Dorota Stalińska, gdańszczanka z urodzenia jest niespokojnym duchem. Ostatnio zagrała w Internecie monodram „Żmija” według opowiadania Aleksego Tołstoja. Opowieść o samotnej, okaleczonej przez wojny kobiecie jest pełna ekspresji, a Stalińska udowadnia tym spektaklem jak wyrazistą jest aktorką.

Czy wraca Pani do Gdańska z sentymentem?

Wcale nie mam takiej świadomości, że ja gdzieś wracam. Gdańsk ciągle jest we mnie, jest moim miastem i ciągle jest to moje miejsce... Moje zakątki to Wrzeszcz nieopodal Jaśkowej Doliny. Tutaj się urodziłam 66 lat temu, tutaj mieszkałam z rodzicami i rodzeństwem, stąd wyruszałam do szkół i w świat. Mam ogromny sentyment w sobie do tej przestrzeni, choć nie jestem specjalnie sentymentalna. Przyjeżdżam do Gdańska, choć ostatnio udaje mi się to coraz rzadziej. Kiedyś częściej grałam w Gdańsku, teraz niestety już nie. Więc coraz trudniej wyrwać mi się od moich obowiązków, ot tak, żeby tylko wpaść do Trójmiasta, przejść się brzegiem morza i spotkać się z przyjaciółmi, by zaspokoić swoje duchowe tęsknoty i potrzeby.

A jeśli już uda się wyrwać trochę czasu dla siebie, to zagląda Pani w „stare kąty” we Wrzeszczu?

Oczywiście, bo w dawnym rodziców mieszkaniu ciągle mieszka mój brat z rodziną, więc naturalnie tam jestem. Staram się też zawsze odwiedzić grób rodziców i opowiedzieć im o tym, co się aktualnie u mnie dzieje.

Zatrzymuję się wtedy na chwilę. Obowiązkowo też wybieram się na spacer po plaży. Szum morza działa na mnie znakomicie. Lubię zapatrzeć się w wodę i powspominać dawne czasy, i pomyśleć spokojnie co dalej. Przyjeżdżałam też do Gdyni, szczególnie w czasie festiwalu filmowych, kiedyś z filmami, w których grałam, a potem by obejrzeć, co robią inni. Taka konfrontacja zawsze dawała mi szansę swoistego „aktywnego uczestnictwa”, a festiwal z taką tradycją jest ważny i potrzebny.

W tym roku losy Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni są niepewne. Pandemia zatrzymała przemysł filmowy, realizację filmów. Ale wiem, że w Gdyni jest też ważne dla Pani miejsce.

Tak i to kilka. I zaglądam wtedy na okręt Błyskawica przy nabrzeżu w Gdyni, bo mam rodzinny wątek na tym okręcie. Mój tata był zaokrętowany na Błyskawicy przed wojną. Coś mnie tam ciągnie.

Nie ma Pani nowych filmów, bo nie ma Barbary Sass – Zdort?

No nie tylko. Basi nie ma już z nami parę lat (reżyserka zmarła w 2015 roku). Ale przez ostatnie lata jej życia też z nią nie zrobiłam filmu.

Namawiałam ją do kolejnych działań, miałam jakieś pomysły. Ale taka jest smutna prawda, że Basia Sass nie dostawała możliwości finansowych na nowy film. A dzisiaj trzeba obowiązkowo mieć zapewniony budżet, żeby z czymś wystartować. Tydzień przed śmiercią Barbary Sass nagrywałyśmy program *Niedziela z Barbarą Sass* dla kanału Kultura i po nagraniu usiadłyśmy w bufecie telewizyjnym i znowu rozmawiałyśmy o tym, że nie może ona dostać żadnego finansowego wsparcia. To było bardzo przykre.

Opowiadam o tym, bo u nas jak któryś z twórców umiera, to przyznajemy mu wtedy wielkość, a za życia jakoś nie dostrzegamy tej wielkości.

Szkoda, że w Polsce trzeba umrzeć, żeby dowiedzieć się dopiero patrząc „tam z góry” jaką się było wybitną jednostką... także zdaniem tych, którzy za życia utrudniali nam egzystencję i działania. Powiedziałam zresztą to nad jej grobem, bo chciałabym, żeby wybitnych twórców, których naprawdę mamy wielu, szanowano i doceniano za życia.

A dlaczego ja nie pracuję dla filmu? Nie umiem na to pytanie do końca odpowiedzieć... Zagrałam w kilku filmach - "Przystanek do nieba" w reżyserii Mariusza Kamińskiego i "Kolekcja sukienek" w reżyserii Marzeny Więcek, ale się te filmy nie przebiły do publiczności. Szkoda wielka, bo „Kolekcja Sukienek” została obsypana nagrodami na kilku festiwalach w świecie, a u nas nie znalazła uznania. Ale to były filmy niezależne więc może dlatego....

A pytanie czemu tak mało mnie w filmie tak naprawdę należy kierować do naszych reżyserów i scenarzystów, a nie do mnie.

Zapewne to jest właśnie cena mojej 40 letniej niezależności i samodzielności. Ludzie się przyzwyczaili, że od lat sama sobie wszystko organizuję: piszę sztuki, produkuję je, finansuję, reżyseruję, gram i jeżdżę z nimi po Polsce... i nie tylko. Na przykład "Zgagę", którą kiedyś tak często grałam w Teatrze Wybrzeże, przewiozłam z toną dekoracji przez całą Amerykę i Kanadę. To było dopiero wyzwanie i to był mój organizacyjny i artystyczny wielki sukces.

Ale film to co innego, w filmie nie da się być Zosią-samosią, bo to dzieło zbiorowe. A poza tym jestem trochę zmęczona już tą swoją samodzielnością

i chciałabym, żeby ktoś coś dla mnie zrobił. Szczerze przyznam, że bardzo tęsknię do filmu i do dobrych filmowych ról.

Jest Pani charakterystyczna i rozpoznawalna, pojawia się Pani w działaniach społecznych. Może to jest przeszkoda? W kinie polskim reżyserzy i producenci przyzwyczajają nas raczej ciągle do tych samych twarzy.

Na świecie pisze się specjalnie scenariusze właśnie dla charakterystycznych i rozpoznawalnych aktorów. Bo to jest gwarancja sukcesu, a co za tym idzie pieniędzy. A u nas właściwie w ogóle nie pisze się scenariusza dla aktorów. Nie ma tych widocznych tandemów reżyser-aktor jak kiedyś Krzysztof Zanussi – Maja Komorowska, czy Barbara Sass – Dorota Stalińska. Andrzej Wajda też miał swoich aktorów, choć oczywiście ciągle poszerzał paletę osobowości. To były grupy twórcze, które nawzajem darzyły się zaufaniem. Dzisiaj generacja wybitnych aktorek w tak zwanym wieku emerytalnym w Polsce ma niestety niewiele już do zagrania i do powiedzenia w filmie polskim. A przecież problemy dojrzałych ludzi mogą być i są bardzo ciekawe i ekscytujące do opowiedzenia w dobrym filmie. Ileż ważnych spraw i problemów dotyczy ludzi po sześćdziesiątce. Żyjemy dłużej i powinniśmy opowiadać w kinie także o tym, co dzieje się z nami, kiedy przestajemy pracować, zostajemy często sami, kiedy już dzieci nas nie potrzebują itp. Tematów jest mnóstwo. U nas aktorki po pięćdziesiątce są co najwyżej matkami albo teściowymi głównych bohaterów - jakieś takie wymemłane, nieszczęśliwe i odsunięte od życia, bez energii i radości istnienia, zgorzkniałe, wymęczone i depresyjne.

Co by u nas grała 68- letnia Meryl Streep?

No właśnie. Jak wychodzę z jej filmów, to chce mi się płakać, że u nas nie pisze się takich ról dla wybitnych aktorek. A przecież nikt chyba nie zakwestionuje, że mamy wybitne aktorki i wybitnych aktorów starszego pokolenia. Często czekają na role latami, czują się odrzuceni i wypaleni, niepotrzebni. Jakie to marnotrawstwo wspaniałego potencjału i talentu. Drażni mnie, gdy oglądam różne polskie filmy prawie z tą samą obsadą. I często są to też bardzo podobne role. Ucieka magia naszego zawodu. Obsadza się aktorów po standaryzowanym wyglądzie i wtedy, szczególnie młodzi aktorzy, nie budują żadnych postaci, nie kreują bohaterów odmiennych od swojej osobowości, tylko „lecą” po tak zwanych warunkach psychofizycznych grając po prostu siebie.

A jaką Pani chciałaby zagrać rolę?

Ciekawą, intrygującą, skomplikowaną, ale też różną ode mnie.

W zawodzie aktora najbardziej fascynujące jest to, że może tworzyć bardzo różnorodne postacie, że może wykreować człowieka, którym się nigdy nie było i nie będzie np. mordercę, zakonnicę, wariatkę czy po prostu zwykłą wieśniaczkę z dawnej epoki. Miałam takie szczęście, że mogłam zagrać bardzo różne role, niektóre napisane specjalnie dla mnie. Każda więc z moich ról jest inna... inna od innych moich ról i inna ode mnie samej. No chyba że tak jak w "07 zgłoś się" czy w "M jak miłość" trzeba było zagrać rolę aktorki Doroty Stalińskiej. Wtedy i tylko wtedy grałam siebie. A wszystkie inne role budowałam z wyobrażeń o osobowości takiej postaci. Lubię szukać w sobie nowych pokładów emocji i zawodowych możliwości. Moje bohaterki nie są kryształowo czyste i piękne, są uwikłane w rozmaite problemy i często niepokodzone z sobą, ale zawsze mają coś co mimo wszystko zjednuje im sympatię widza. I budowanie takich postaci mnie kręci.

Kręci też Panią granie własnych spektakli, występowanie z recitalami piosenek?

Tak. Od 40 lat jeżdżę po Polsce ze swoimi spektaklami i koncertami... i to daje mi siłę i pewność, że jestem ludziom potrzebna. Od 18 lat działa też Fundacja Doroty Stalińskiej "Nadzieja" zajmująca się bezpieczeństwem na drogach. Działam społecznie z potrzeby i przekonania. Jestem z takiego domu, który był otwarty na świat i bardzo ważne było dla nas to, co dzieje się dookoła. Nie wyłączam się z rzeczywistości, bo tak jestem skonstruowana. Wrażliwości na innych ludzi nauczyłam się w moim rodzinnym domu. To rodzina ukształtowała moje podstawowe zasady, które przenoszę przez życie: po pierwsze trzeba się dzielić z ludźmi tym, co mamy. Pamiętam do dzisiaj jak tata mówił: *Pamiętaj Dzidziu, cokolwiek w życiu zrobisz, przyjdzie ci za to prędzej czy później zapłacić, więc lepiej rób rzeczy dobre.* A mamusia dodawała: *nigdy nie jesteśmy tak biedni, żeby nie móc podzielić się z innymi.* I staram się o tym zawsze pamiętać.

Ale dzisiaj świat promuje brutalność, cynizm, egoizm, agresje i chamstwo. I naprawdę cierpię z tego powodu... nie mogę znieść tej zawiści, tej wszechobecnej brzydoty ... i promocji tej brzydoty. Jakiś rynsztok nas zalał. Zamiast mówić o rzeczach ważnych pięknym językiem pokazujemy

prostactwo i ordynarność. Widać to też w wielu polskich filmach i w teatrze. Pokazujemy dzieci, młodzież i dorosłych schamiałych, którzy wylewają językowe pomyje. Dawnej się mówiło, że to jest język spod budki z piwem. A w polskich filmach on jest niestety wszechobecny...bluzgają i dzieci i tzw. elity. Jakiś koszmar nas ogarnął. Buntuje się przeciwko temu całym swoim jestestwem.

Objaw niedostosowania?

Nie. Wiem, że świat się zmienił i my też na tym świecie. Wiem, że wszystko się spauperyzowało niestety. Wiem, że ordynarne słowa stały się dzisiaj jakimś zwykłym przerywnikiem...

Przecinkiem.

No właśnie. Ale na nas, ludziach kreujących, tworzących i mających przywilej mówienia do innych spoczywa poważna odpowiedzialność. Jeśli mówimy publicznie, to mamy obowiązek mówienia ładnie, mówienia przyzwoicie, nawet o sprawach nieprzyzwoitych. Bo na nas też spoczywa obowiązek edukacyjny.

Czyli jaki?

W wielu filmach aktorzy nie mówią, a bełkoczą, mamrocą, a przecież to są zawodowi aktorzy. Człowieka bełkoczącego trzeba umieć zagrać! Okropnie mnie drażni niechłujność mowy polskiej wśród zawodowych aktorów. Mówią niewyraźnie, seplenią, nie pracują nad sobą, nad swoimi umiejętnościami, nad swoim warsztatem i nad swoją dykcją. Zawód to zobowiązanie, a nie przypadkowe udawanie, że jest się aktorem-amatorem. A jeśli taką ma się rolę, to trzeba ją zagrać perfekcyjnie. To samo często jest w teatrze, spotykam młodych aktorów, których słyhać do trzeciego rzędu. I nie wierzę w autentyczność odgrywanych przez nich ról, to mnie złości. Ale czyja to jest wina? Czy tych młodych, którzy grają? Nie. Tych, którzy kształcą i przekazują jakieś wzorce. Dawniej samo środowisko bardziej się kontrolowało, dzisiaj w imię tzw. pozornej kreatywności i „wolności twórczej” zabrakło środowiskowej samodyscypliny. Dzisiaj o sztuce decydują ludzie wokół, a twórcy są tylko dodatkiem. Ważniejsza jest postprodukcja, przedprodukcja, sponsorzy, dostawcy i dawcy pieniędzy, których my często nawet nie znamy. Czasami myślę, że może i ja powinnam przestać o tym mówić, bo to może mi zaszkodzić.

Nie wierzę. To do Pani niepodobne.

A wracając do Pani dokonań twórczych. 40 lat lat minęło od prapremiery monodramu „Żmija” - prapremiera w 1978 r na Festiwalu Teatrów Jednego Aktora w Toruniu, a zaraz potem w Gdańsku razem tworzyłyśmy z tego spektaklu widowisko telewizyjne. Szmata czasu...

A ponad 20 lat minęło od prapremiery monodramu „Zgaga”. Dla mnie najważniejsze, żeby widz nie odczuwał, że ja to gram już tyle lat i żeby dla publiczności zawsze było to nowe. Dlatego te spektakle ciągle są dla mnie ważne. Rośnie nowe pokolenie widzów, dla których są to zupełnie nowe propozycje. Kocham też spektakle-recitale piosenek. Wydałam kilka płyt i tomików wierszy. To też mój artystyczny charakter pisma.

Dziękuję za rozmowę.